

UMIERA
SIĘ
TYLKO RAZ

ROBERT
DUGONI

ALBATROS

Rozdział 1

*Seattle, stan Waszyngton
sobota, 24 czerwca 2017*

Kurt Schill przeciągnął czterometrową aluminiową łódź po dróźnie z belek ułożonych na plaży, żeby nie szorować dnem po żwirze. Dbał o stan swojego najnowszego nabytku, ale jeszcze bardziej chodziło mu o to, by nie narażać się mieszkańcom apartamentowców nad wąskim przesmykiem do cieśniny Puget. Hałasowanie o wpół do piątej rano nie byłoby przez nich mile widziane. Mogliby donieść policji, że przeciąga łódkę po deptaku, a on nie miałby nic na swoje usprawiedliwienie. O tym, że dróżka była przeznaczona wyłącznie dla spacerowiczów, informowały liczne tablice ostrzegawcze.

Schill zszedł do wody i przez gumowce poczuł, jak w wodzie cieśniny, o temperaturze poniżej ośmiu stopni, drętwieją mu nogi. Zepchnął łódź i wskoczył do środka, boleśnie uderzając kolanem w burtę; gwałtownie kołysał się na boki, póki nie udało mu się usadowić pośrodku i złapać równowagi. Ale i tak dzięki kadłubowi w kształcie litery V łódź była dużo stabilniejsza od jego poprzedniej łódki z włókna szklanego, którą przy wietrze trudno było manewrować. Wiedział, że musi odpłynąć trochę od brzegu, nim odpali sześciokonny silnik Hondy i uzyska pełną kontrolę nad łodzią.

Wsunął drewniane wiosła w dulki i wsłuchując się w ciche plaskanie piór i stukot dulek, niemal bezgłośnie odpłynął od brzegu. Aluminiowy kadłub ślizgał się gładko po smoliście czarnej wodzie cieśniny. To również podobało mu się w nowym nabytku. Zbierał na tę łódź pieniądze i kupił ją wraz z przyczepą z ogłoszenia w internecie za dwa tysiące dolarów – płacąc pięćset więcej, niż zakładał – pożyczwszy brakującą kwotę od ojca i wiedząc, że będzie musiał mu ją oddać. Liczył, że zaoszczędzi na opłatach pobieranych w miejscowych marinach i złowi więcej krabów. Władze ustaliły wprowadzić limit połowu na pięć kieszeńców na osobę, ale Schill nie zamierzał się tym przejmować. Miał stałych odbiorców wśród restauratorów, którzy płacili żywą gotówką z ręki do ręki.

Wiosłował w stronę Blake Island, wystającego z wody dużego czarnego garbu, choć na tle wznoszących się za nim znacznie większych wysp Bremerton i Vashon wyglądał na niewielki. Na północy widać było światła promu pełzającego na wschód z Bremerton do Seattle; z daleka przypominał świecącego owada wodnego. Pod kamizelką ratunkową Schillowi spływały po piersiach krople potu i znikwały pod sięgającymi brzucha waderami. Było tak gorąco, że z przyjemnością wystawiał twarz i kark na chłodzące podmuchy wiatru.

Kilkaset metrów od brzegu odłożył wiosła i przesunął się na tył łodzi. Przypiął do kamizelki linkę wyłącznika awaryjnego, trzykrotnie ścisnął gumową bańkę na przewodzie paliwowym, by wpompować paliwo do silnika, ustawił przepustnicę i pociągnął rozrusznik. Silnik zaskoczył, zakaszał i zgasł. Schill upewnił się, że dźwignia i przepustnica są prawidłowo ustawione, i ponownie szarpnął linkę. Silnik przez chwilę się dławiał, po czym wydał z siebie zdrowy warkot.

Zgodnie z obowiązującym prawem łowić kraby o tej porze

roku mogli tylko członkowie plemion rdzennych Amerykanów, a kary dla nieprzestrzegających przepisów były naprawdę dotkliwe, ale Schill pod koniec ubiegłego sezonu natknął się na naprawdę obfite łowisko i nie mógł się już doczekać sprawdzenia, czy jego znalezisko jest wciąż tak samo zasobne. By uniknąć przyłapania na kłusowaniu, stawiał kosze już po zachodzie słońca i zbierał je jeszcze przed wschodem, ale i tak mocno ryzykował, a pływanie bez świateł zwiększało ryzyko zderzenia z inną łodzią lub pływającą w wodzie kłodą. Jedno i drugie mogło się skończyć tragicznie.

Przesunął rumpel do końca w prawo i łódź ostro skrzyła, po czym wystrzeliła do przodu, zostawiając za sobą głęboki kilwater. Cudownie!

Schill dopłynął do swojego łowiska, przymknął przepustnicę i zwolniwszy, rozejrzał się za rozłupanym drzewem będącym jego znakiem rozpoznawczym. Dojrzał je, ustawił bieg na jałowy i wpatrzył się w powierzchnię wody w poszukiwaniu stożkowatego zarysu swej czerwono-białej pławy. Nie mogąc jej wypatrzeć, zaniepokoił się. Członkowie miejscowych plemion zabierali sprzęt kłusownikom naruszającym ich prawa łowieckie.

Wyjął spod ławeczki latarkę i poświecił po wodzie. Za trzecim podejściem dostrzegł wreszcie tańczącą na falach pławę. Z ulgą podpłynął bliżej, uchwycił pierścień i zaczął ciągnąć za linkę do chwili, aż naprężyła się pod ciężarem kosza. Przełożył ją przez bloczek żurawika na tyle łodzi – kolejnego udogodnienia, którego na poprzedniej, tej z włókna szklanego, nie było – i zaczął ciągnąć linkę, pozwalając, by opadała na dno łodzi u jego stóp.

– Chodźcie tu, krabiki – mruknął pod nosem.

Potrafił ocenić wielkość połowu po ciężarze kosza, choć

nie zawsze się to sprawdzało. Zdarzało mu się wyciągać ciężkie kosze i znajdować w nich rozgwieżdzy, płastugi i inne denne ryby. Ten kosz był jednak najcięższy ze wszystkich i po chwili Schill poczuł, że ręce mdleją mu z wysiłku. Tak bardzo, że musiał uwiązać linkę i chwilę odsapnąć.

– Cholera – prychnął, czując znajome wiercenie w brzuchu w oczekiwaniu na wielką zdobycz.

Zapał się nogami o burty łodzi, odwiązał linkę i od razu poczuł w rękach potężny ciężar kosza. Łódź przechyliła się na prawą burtę, wysięgnik żurawika pochylił się ku wodzie. Schill ocenił, że wybrał już jakieś dwadzieścia metrów linki, co znaczyło, że zostało mu jeszcze około pięciu. Ale coś było nie w porządku. Linka wystawała z wody nie pionowo, tylko ukośnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a to zwykle sygnalizowało zaczepienie o coś.

Cokolwiek to było, zbliżało się do powierzchni wody przed koszem, co nie wróżyło dobrze. Jeśli linka owinęła się wokół dużej kępy wodorostów lub leżącej na dnie starej kotwicy, trzeba będzie ją od tego uwolnić. Może się skończyć tym, że będzie musiał ją odciąć i straci kosz z całą zawartością. I żegnajcie, planowane zyski.

Raz jeszcze pociągnął, czując ból wszystkich mięśni. Krople potu spływały z czoła i zalewały mu oczy, a on potrząsał głową, próbując się ich pozbyć. W końcu pod powierzchnią wody zarysował się kształt pułapki na kraby. Była ledwo widoczna, ale wydała mu się kwadratowa. Jego kosz był ośmio-kątny. Albo linka splątała się z linką innego kosza, albo pomylił pławy i wyciągnął cudzy kosz.

Uwiązał linkę i ostrożnie przesunął się na ławeczce.

Wysięgnik żurawika pochylił się ku wodzie o następne kilkanaście centymetrów. Schill ostrożnie chwycił naprężoną linkę i uważając, by nie przewrócić łodzi, zaczął ciągnąć kosz

do burty. Udało mu się złapać jego krawędź i przyciągnąć go jeszcze bliżej. Drugą ręką sięgnął po latarkę i oświetlił wnętrze kosza.

Wyglądał na pełny, tylko czego?

Dostrzegł kępę wodorostów, rozgwieżdżoną, ale także kilka żerujących krabów.

A potem zobaczył rękę.

Rozdział 2

Tracy Crosswhite zaparkowała swego pick-upa, forda F-150, na Beach Drive, zebrała blond włosy w koński ogon i ściągnęła je gumką. Ostatnio rzadko jej się zdarzało tak je nosić. Miała czterdzieści trzy lata i nie chciała być zaliczana do czterdziestolatek udających szczerbiotliwe, pełne energii dwudziestolatki, lecz o tak wczesnej porze nie tylko brakowało jej energii, ale było jej obojętne, jak wygląda. Zrezygnowała też z porannego prysznicza i makijażu.

Włączyła funkcję dyktafonu w smartfonie i przewinęła wiadomości do początku, gdzie zapisała godzinę otrzymania informacji od Billy'ego Williamsa, jej zwierzchnika w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle. Wcisnęła przycisk nagrywania i powiedziała do mikrofonu: „Godzina piąta czterdzieści pięć. Jestem na Beach Drive przy Cormorant Cove”.

Williams zadzwonił do niej jakieś dwadzieścia minut wcześniej. Dyspozytor dostał zawiadomienie z numeru 911 o zwłokach znalezionych w cieśninie Puget, a na drzwiach jej boksu wisiała czaszka. Ludzka czaszka była oczywiście plastikowa, a koledzy w wydziale zabójstw używali jej do oznakowania bok-

su detektywów – w tym przypadku Tracy i jej partnera, Kingstona Rowe’a – pełniących nocny dyżur telefoniczny.

Billy Williams poinformował ją, że nie zna jeszcze wszystkich szczegółów i na razie wiadomo tyle, że ktoś zgłosił znalezienie zwłok w pobliżu Cormorant Cove, parę kilometrów od wynajmowanego przez Tracy domu w dzielnicy Admiral, w zachodnim Seattle. W rezultacie zjawiała się na miejscu przed wszystkimi służbami, tuż po przyjeździe patroli policyjnych. Radiowozy stały po drugiej stronie ulicy, ustawione przodem w odwrotnym niż ona kierunku.

Tracy wysiadła z pick-upa i popatrzyła na nienasycone, jaśniebieskie niebo, gdzie widać był tylko zarys księżyca. Było już całkiem ciepło, co znaczyło, że czeka ją kolejny nieprzyjemnie upalny dzień. Z sześcioma dniami o temperaturach powyżej trzydziestu stopni, tegoroczny czerwiec zapowiadał się na najgorętszy w historii.

Tracy nagrała kolejną wiadomość. „Pogoda bezchmurna i bezwietrzna”. Rzuciła okiem na mapkę pogodową na smartfonie. „Dwanaście stopni w zachodnim Seattle”.

Była sobota i Tracy wiedziała, że wkrótce plaża i promenada zaroją się od ludzi z psami, osób uprawiających jogging i rodzin z dziećmi na porannych spacerach. Natknięcie się na zwłoki na plaży zepsułoby wszystkim atmosferę rozpoczynającego się weekendu.

Włożyła na głowę policyjną bejsbolówkę, przewlekła włosy przez wycięcie nad paskiem do regulacji obwodu i opuściła daszek nisko na oczy, po czym wzięła do ręki tubkę kremu przeciwsłonecznego z filtrem 50 i posmarowała nim ręce i ramiona, szyję, dekolt i twarz. Dwa miesiące wcześniej przeżyła moment paniki, kiedy w ramach rutynowych badań lekarz zauważył odbarwienie skóry w okolicach obojczyka. Poszła z tym zaraz do dermatologa, a ten stwierdził uszkodzenie na-

skórka, ale bez zmian rakowych. Przyjemności związane z wiekiem – zmarszczki, koniec płaskiego brzucha i smarowanie się kremem przed każdym wyjściem na słońce.

Podeszła do trzech czarno-białych radiowozów – dwóch sedanów i jednego SUV-a – które stały zaparkowane przed wjazdem na osiedle Harbor West. Budynki postawiono na wbitych głęboko palach i wychodzących w zatokę pomostach, co nadawało zupełnie nowy sens pojęciu „mieszkanie nad wodą”. Nie, dziękuję, pomyślała. Pierwsze poważniejsze trzęsienie ziemi mogło połamać te pale jak zapalki. Tylko że wynajmowany przez nią dom stał na szczycie sześćdziesięciometrowego wzniesienia i też stanowił swoisty kompromis między widokiem a wygodą. Człowiek musi wybierać. Tu widok rzeczywiście był niesamowity. Cieśnina i widoczne w oddali wyspy Vashon i Bainbridge oraz dużo od nich mniejsza Blake Island tworzyły scenię, która uzasadniała szokująco wysokie czynsze i ceny mieszkań w budynkach przy Beach Drive.

Stojący na deptaku funkcjonariusze policji przyglądali się, jak Tracy podchodzi do rozciągniętej czarno-żółtej taśmy policyjnej i nawet nie próbuje okazać odznaki policyjnej. Wiedziała, że po dwudziestu latach służby nawet bez policyjnego logo na wiatrówce i napisu POLICJA na otoku bejsbolówki bije od niej nieomylna pewność siebie doświadczonej policjantki.

– Tracy – powitała ją policjantka w mundurze.

Nie mówiąc o tym, że nadal była jedyną kobietą detektyw w wydziale zabójstw i niedawno dostała drugi Medal Zasługi za pokierowanie głośnym śledztwem i doprowadzenie do ujęcia seryjnego zabójcy nazywanego Kowbojem. Szczerze mówiąc, wcale nie zależało jej na rozgłosie. W komendzie policji Seattle już szeptano po kątach, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu wszystkie głośne sprawy kryminalne trafiają do niej i jej

partnera. Podejrzenia, że kapitan Johnny Nolasco mógł ją w jakikolwiek sposób faworyzować, były całkowicie absurdalne. Relacje między nią a kapitanem były gorsze niż między kobietami w serialu telewizyjnym *Housewives of Wherever*.

– Witaj, Katie – rzuciła Tracy.

Katie Pryor pracowała w komisariacie Południowy Zachód i była jedną z wielu funkcjonariuszy, których Tracy szkoliła do egzaminu kwalifikacyjnego ze strzelania.

– Co u ciebie? – zapytała Pryor.

– Przydałoby się trochę więcej snu – odparła Tracy.

Machinalnie ogarniała już wzrokiem cały teren. Odnosiła prowadzący do wody i wyłożony drewnianymi belkami deptak i młodego mężczyznę, który stał obok wyciągniętej na brzeg aluminiowej łodzi rybackiej. Za łodzią ciągnęły się jakieś trzy metry naprężonej linki, która znikwała w sinoszarej wodzie. Tracy zdziwiło, dlaczego wyciągnięta na piach łódź musi stać na kotwicy.

– Rozumiem, że to on zgłosił znalezienie ciała, tak? – upewniła się.

Pryor spojrzała przez ramię.

– Tak, nazywa się Kurt Schill.

Tracy powiodła wzrokiem po kamienistej plaży, pełnej kałków drewna zbielełych od słońca i wody.

– A gdzie to ciało? – spytała.

– Podejdę z tobą – powiedziała Pryor.

Nagryzmoliwszy swoje nazwisko na liście obecności, Tracy przeszła pod taśmą. Pryor podała podkładkę z listą jednemu z policjantów.

Tracy zauważyła, że na plaży zaczyna się już zbierać tłumek gapiów.

– Usuniecie wszystkich, niech się wycofają na promena-

dę na grobli – zwróciła się do funkcjonariuszy z patroli. – Uprzedźcie, że plaża będzie zamknięta przez większość dnia. I dowiedzcie się, czy ktoś czegoś nie widział lub może coś wie. – Powiodła wzrokiem po Beach Drive i dostrzegła niebieski pick-up z przyczepą na łódź. – Jak się ich pozbędziecie, to spiszcie numery rejestracyjne wszystkich samochodów zaparkowanych na Beach Drive do Sześćdziesiątej Pierwszej Alei i dalej na Spokane Street.

Wiedziała, że obie ulice przecinają się z Beach Drive, tworząc trójkąt nierównoboczny, w którym Beach Drive stanowiła najdłuższy bok. Zdarzało się, że zabójca – jeśli mieli do czynienia z morderstwem – wracał na miejsce zbrodni, by obserwować rozwój wypadków.

Ruszyli w stronę brzegu. Po ciągu upalnych dni nad plażą unosił się solankowy zapach. Jeden z mundurowych biedził się z wbiciem kołka w kamieniste podłoże, zapewne po to, by przeciągnąć do niego taśmę policyjną i zamknąć obwód w kształcie litery U.

– Mieliśmy telefon z dyspozytorni o piątej trzydzieści dwie – powiedziała Pryor. Szła ciężko; jej stopy zapadały się z chrzęstem w kamiennym żwirze, wydając dźwięki przypominające potrząsanie garścią bilonu. – Gdy dotarliśmy na miejsce, czekał na nas przy swojej łodzi.

– Powiedziałaś, że jak on się nazywa?

– Kurt Schill. Chodzi do liceum West Seattle.

Tracy zatrzymała się, by przyjrzeć się belkom ciągnącym się równolegle do linii wody.

– To jego dzieło? – spytała.

– Nie jestem pewna.

– Wygląda jak pochylnia do wodowania łodzi. – Tracy wyjęła telefon i zrobiła kilka zdjęć.

– Twierdzi, że wybrał się na kraby i przy wyciąganiu kosza o coś zahaczył – poinformowała ją Pryor.

– O topielca? – zdziwiła się Tracy. Byłby to pierwszy taki przypadek.

– O inny kosz na kraby.

– Myślałam, że natknął się na ciało.

– Chłopak twierdzi, że tam było ciało – potwierdziła Pryor. – W tym drugim koszu.

Tracy spojrzała na łódź i naprężoną linkę w wodzie. Zatem to nie kotwica. Jechała tu z nastawieniem, że czekają na nią zwłoki wyrzucone na brzeg – ofiara utonięcia lub wypadku na łodzi. Coś, co w swym policyjnym żargonie nazywali „wyrzutkiem”, coś oczywistego. Ale jeśli ciało znajdowało się w koszu na kraby, to wszystko się zmieniało. Na gorsze.

– Widziałas je? – spytała.

– Ciało? – Pryor pokręciła głową. – Jest za głęboko pod wodą. I nie mam pewności, czy chcę je oglądać. Chłopak opowiadał, że zobaczył rękę wystającą spod krabów i rozgwiżdź. Brzmiało okropnie. Przyciągnął kosz do brzegu.

– Rękę czy całe ciało?

– Mówi, że widział rękę. Ale sądząc po ciężarze kosza, w środku może być całe ciało.

Tracy wyobraziła sobie przerażenie młodego człowieka na widok rozkładających się zwłok, na których żerują morskie stworzenia.

Podeszła za Pryor do brzegu. Fale łagodnie obmywały kamienie. Rozciągający taśmę policjant stał wyprostowany i ocierał pot z czoła.

– Dziękuję za rozciągnięcie taśmy – powiedziała Tracy. – Ale trzeba będzie znacznie powiększyć ogrodzony teren. Aż tam, do belek, i dalej do promenady. Ustaw też parawan i za-

słoń widok od strony grobli. Zrób to, jak go tylko przywiozą. Niczego nie dotykałeś ani nie ruszałeś?

– Niczego, nie licząc paru kamyków przy wbijaniu kołków – odparł partner Pryor.

– A co ze strażą portową? Ktoś ich zawiadomił, żeby przysłali ekipę nurków? – zapytała Tracy.

– Jeszcze nie – wtrąciła się Pryor. – Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie zostawić wszystko tak, jak jest, do czasu, aż ktoś się zjawi z planem działania.

– Zadzwoń do nich – zwróciła się Tracy do policjanta. – Powiedz im, że musimy wygrodzić część cieśniny tak, żeby nie kręciły się tu żadne łodzie, dopóki nie ustalimy co i jak. – Spojrzała na Pryor. – Jak zachowywał się ten chłopak z łodzią, kiedy tu dotarłaś?

– Był bardzo roztrzęsiony. Zdezorientowany. Wystraszony.

– I co powiedział?

Pryor zajrzała do notatek.

– Że wypłynął wcześniej rano, żeby wyciągnąć kosz zastawiony w pobliżu Lincoln Park. Powiedział, że umieścił go na głębokości około dwudziestu pięciu metrów, ale jak zaczął go wyciągać, kosz wydał mu się zbyt ciężki. I kiedy znalazł się tuż pod powierzchnią wody, chłopak zdał sobie sprawę, że to nie jego kosz.

– Nie jego? – powtórzyła Tracy.

– Nie. Widocznie linki się splątały. Chłopak twierdzi, że przyświecił latarką z bliska, zobaczył coś, co wydało mu się ludzką ręką, i prawie zesrał się ze strachu. Wypuścił kosz, który poszedł pod wodę i niemal wyrócił łódkę. Chłopakowi udało się jakoś doholować go na płyciznę, wyciągnął łódź na brzeg i zadzwonił na dziewięćset jedenaście.

- Co jeszcze o nim wiemy?
- Właśnie skończył drugą klasę w liceum West Seattle, mieszka przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Jego rodzice są już w drodze.
- Co nastolatek robi na łodzi o tak wczesnej porze?
- Sądzisz, że znam odpowiedź? – Pryor uśmiechnęła się.
- Twierdzi, że wypływa na kraby tak wcześnie, żeby uniknąć konkurencji z większymi łodziami.
- Ale ty mu nie wierzysz? – Tracy wyczuła powątpiewanie w tonie funkcjonariuszki.
- Sezon na kraby jeszcze się nie zaczął. O tej porze roku łowić mogą tylko członkowie miejscowych plemion.
- Skąd to wiesz?
- Dale i ja trochę się bawimy w łowienie krabów. Głównie po to, żeby dziewczynki mogły popływać łodzią. Tutejszym rdzennym Amerykanom wolno łowić praktycznie bez ograniczeń. Dla wszystkich innych sezon połowów zaczyna się dopiero za tydzień, dokładnie drugiego lipca, jeśli się nie mylę.
- To czemu ten chłopak łowi?
- Twierdzi, że o tym nie wiedział, ale sądzę, że udaje głupiego.
- Dlaczego?
- Pryor wskazała głową aluminiową łódź na brzegu.
- To wysokiej klasy sprzęt. Ktoś mający taką łódź musi znać przepisy, bo kary bywają bardzo surowe. Myślę, że wymknął się wcześniej rano, żeby wyprzedzić oficjalny sezon i odebrać trochę krabów Indianom. Niektóre miejscowe restauracje dobrze płacą za kraby. To niezły sposób dla przedsiębiorczego nastolatka, żeby zarobić parę groszy.
- Tylko że to wbrew przepisom.
- No, niestety. – Pryor kiwnęła głową.
- Chodźmy do niego – powiedziała Tracy. – A potem by-

łabym wdzięczna, jeśli mogłabyś zrobić dla mnie parę zdjęć.
Czego się da.

Podeszły razem do Kurta Schilla, Pryor przedstawiła ich sobie i odeszła, by porobić zdjęcia. Schill wyciągnął rękę i zaskakująco mocno uściśnął dłoń Tracy. Czoło miał usiane młodzięcymi wypryskami, twarz zbyt dziecinna, by już zaczął się golić.

– Dobrze się czujesz? – spytała Tracy.

– No. – Schill kiwnął głową.

– Chcesz usiąść?

– Nie, tak jest dobrze.

– Wiem, że opowiedziałeś funkcjonariuszce Pryor o tym, co się wydarzyło. Nie masz nic przeciwko temu, że zadam ci jeszcze kilka pytań?

– Nie. – Przymknął oczy i pokręcił głową. – Znaczy tak... proszę.

– Dobrze. Tylko spokojnie, nie denerwuj się. Kiedy nastawiłeś swój kosz na kraby?

Chłopak zmarszczył czoło.

– Mmm, znaczy to było... nie jestem pewny.

– Słuchaj, chłopcze. – Tracy odczekała, aż podniesie na nią wzrok. – Nie reprezentuję władz ochrony przyrody, jasne? Nie obchodzą mnie żadne okresy ochronne. Zależy mi, żebyś był ze mną szczery i opowiedział, co robiłeś, tylko po to, żebym mogła ustalić, czy coś widziałeś.

– A co miałem widzieć?

– Cofnijmy się do chwili, kiedy zastawiłeś swój kosz.

– Wczoraj wieczorem. Około wpół do jedenastej.

– Dobrze. Rozumiem, że było już ciemno.

– Bardzo ciemno, tak. – Schill pokiwał głową.

W czerwcu słońce w Seattle zachodzi dopiero po dziewiątej wieczorem, półmrok może się utrzymywać jeszcze przez

następne trzy kwadranse.

- Czy widziałeś kogoś na wodzie? Jakies inne łodzie?
 - Kilka.
 - Łowiące kraby?
 - Nie, tak tylko... pływali. Chyba jedna trałowała.
 - Ci, co nią płynęli, łowili ryby?
 - Łososie.
 - W tym samym rejonie, gdzie zastawiłeś kosz?
 - Nie. Wie pani, widziałem ich tylko z daleka.
 - Czyli nic niezwykłego, tak?
 - Niezwykłego? Znaczy co?
 - Czy coś zwróciło twoją uwagę, spowodowało, że się zainteresowałeś i odwróciłeś głowę. Coś w tym rodzaju.
 - Och, nie, nic takiego. Zupełnie nic.
 - O której wypłynąłeś dziś rano?
 - Około czwartej.
 - Dlaczego zastawiasz kosze tak późno i zbierasz tak wcześnie? – spytała Tracy, choć była pewna, że zna odpowiedź.
- Chłopak się skrzywił.
- Żeby wyciągnąć kosz, zanim ktoś mnie zobaczy.
 - Często to robisz?
- Na twarzy Schilla znów pojawił się wyraz zmieszania.
- W tym tygodniu już drugi raz.
 - Spytałem jeszcze raz. Nie widziałeś żadnych innych łodzi ani nic, co by cię zastanowiło?
- Chwilę dumał nad odpowiedzią.
- Nie, właściwie nie.
 - Możemy popłynąć w to miejsce, w którym wyciągnąłeś kosz?
 - Co, teraz? – W głosie chłopaka zabrzmiał strach.
 - Nie, za chwilę. Czekamy na ekipę nurków. Chciałabym, żebyś nam pokazał, gdzie dokładnie znalazłeś ten kosz.

- Tak, dobrze. - Teraz w jego głosie słychać było wahanie.
- To jakiś problem? - rzuciła Tracy.
- Mam dziś rano matematykę.
- Obawiam się, że dziś będziesz musiał opuścić lekcje.
- Oj!
- Rodzice tu jadą?
- Tata jest w drodze.
- Dobra, poczekamy. Trzymaj się. - Tracy ruszyła w stronę robiącej zdjęcia Pryor.

- Pani detektyw! - zawołał za nią Schill.

Odwróciła głowę.

- Tak?

- Myślę, że ona długo tam nie leżała.

Tracy zawróciła.

- Sądziś, że to kobieta? - spytała.

- Znaczy... nie jestem pewien, ale ta ręka... paznokcie.

Wciąż był na nich lakier.

Chwilę się zastanowiła.

- Dobra. Coś jeszcze?

- Nie.

Katie Pryor zawołała ją i wskazała na drogę.

Na jezdni zatrzymał się wóz transmisyjny Kanału Ósmego telewizji KRIX ze sterzącą na dachu anteną satelitarną i wysiadła z niego z mora wszystkich pracowników Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, reporterka Maria Vanpelt. Była wschodzącą gwiazdą lokalnej telewizji informacyjnej, mającą nosa do sensacyjnych wydarzeń atrakcyjną blondynką, która została mocno skarcona za nieprofesjonalne zachowanie przy sprawie Kowboja. W rezultacie od wielu miesięcy nie pokazywała się i nikt za nią nie tęsknił. Stykający się z nią detektywi z Sekcji przezywali ją Super Glue i szeptali, że jednym z mężczyzn, do których się kleiła, był ich szef, kapitan Johnny

Nolasco.

Tracy zadzwoniła z komórki do Billy'ego Williamsa i poprosiła, by ekipa zajmująca się oględzinami miejsc przestępstw przywiozła ze sobą nie tylko parawan, ale także namiot. Rozstawiony nad samą wodą, miał pomieścić punkt dowodzenia akcją i zapewnić dodatkową dyskrecję poczynąń. Tracy wiedziała, że w ślad za wozami transmisyjnymi pojawią się też śmigłowce. Wiedziała też, że ustanowienie strefy zakazu lądowania niczego nie zmieni, bo jeśli media uznają temat za wystarczająco nośny, będą wołały zapłacić grzywnę i postawić na swoim. Słuchając słów Williamsa, przeniosła wzrok ku wodzie i przyjrzała się ciągnącej się z tyłu łodzi lince.

Zdecydowanie tym razem nie chodziło o wyrzutka.

□ □ □

Na plażę zajechał policyjny cyrk, co przyciągnęło tłumy gapiów. Ludzie stali łokcie przy łokciu, oparci o metalową barierę, wśród nich przepychali się fotoreporterzy i kamerzyści. Przy brzegu stało kilka radiowozów, po zatoce pływały dwa niebiesko-białe kutry straży portowej, nie pozwalając się zbliżyć żaglówkom i motorówkom ciekawskich, po terenie kręciło się kilkunastu umundurowanych policjantów, tuż nad wodą stawiano namiot – wszystko to przyciągało tłumy niczym magnes. Nawet turyści wydawali się bardziej zainteresowani akcją na plaży niż ikonicznymi widokami – wznoszącym się na południowym horyzoncie masywem Mount Rainier i lśniącą w porannym słońcu latarnią morską Alki Point z jej białymi ścianami i dachem z czerwonej dachówki na tle Zatoki Elliotta i dalekiej panoramy wieżowców Seattle.

Nurkom udało się rozsupłać płataninę lin i wodorostów za rufą łodzi Kurta Schilla, kosz o sześćdziesięciocentymetrowej średnicy został wydobyty i miał być wraz z łodzią przewieziony

na przystań policyjną i poddany badaniu na obecność odcisków palców i śladów DNA. Drugi, większy, ze swoją przerażającą zawartością został poddany oględzinom na miejscu w namiocie.

Tkwili w nim zwłoki kobiety. Była zupełnie naga, jej rozdęte i poszarzałe ciało miało barwę i konsystencję zawartości muszli uchowca: jasnoszare, galaretowate, pokryte siatką fioletowych linii, w paru miejscach nadgryzione przez morskie stworzenia. Kontrastowały z nim jasnoniebieskie paznokcie u rąk, przypominające dłonie porcelanowej lalki, spękanie i porysowane po latach używania.

W namiocie trwała dyskusja, jak najlepiej przetransportować ciało do biura koronera przy Jefferson Street w centrum Seattle. Wprawdzie Tracy jako starsza funkcjonariuszka wydziału zabójstw dowodziła pracą ekipy śledczej na miejscu przestępstwa, jej władza nie obejmowała jednak ciała ofiary, które pozostawało w wyłącznej gestii koronera. A Stuart Funk, koroner okręgu King, który lubił stawiać na swoim, uznał, że nie należy wyjmować ciała z kosza, by nie zniszczyć ewentualnych śladów. Problem polegał na tym, że nikt nie był pewny, czy kosz zmieści się do furgonetki koronera w pozycji pionowej, i wszyscy ze strachem myśleli, że przyjdzie im kłaść go na boku na oczach tłumu gapiów. Funk wysłał w końcu kogoś po taśmę mierniczą.

Tracy czekała przed namiotem razem z Kinsem i Billym Williamsem oraz Vikiem Fazzio i Delmem Castigliano, pozostałymi członkami zespołu A Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych. Ubrani w luźne spodnie, sportowe marynarki i mokasyny, Faz i Del wyglądali jak mafiosi z New Jersey, którzy bez powodzenia starają się wmieszać w tłum na Cocoa Beach. Z biura prokuratora okręgowego przysłano też Ricka

Cerrabone'a, starszego prokuratora z Wydziału Najcięższych Przestępstw Kryminalnych. Tracy zetknęła się już z nim przy kilku wcześniejszych śledztwach, tyle że tym razem nie bardzo miał co robić na miejscu wyjątkowo niekonwencjonalnego przestępstwa. Należało się spodziewać, że ilość śladów do zabezpieczenia będzie wyjątkowo mała. Woda morska musiała zniszczyć ewentualne odciski palców i ślady DNA na koszu, a ponieważ był wcześniej zanurzony na głębokości dwudziestu kilku metrów, szukanie śladów na plaży nie miało sensu.

– Nie da się nawet ustalić miejsca, gdzie przybiła łódź zabójcy – zauważyła Tracy. – W tej części nabrzeża jest kilka pomostów, nie mówiąc już o ciągnącej się tu przystani Don Armeni. W dodatku nie wiadomo, czy zabójca w ogóle skorzystał z jakiejś przystani, bo Schill na przykład tego nie zrobił.

– Mogli przybić do brzegu gdziekolwiek, od wysp San Juan aż po Olympię – wtrącił Faz swym gardłowym akcentem z New Jersey. Wycierał chustką pot na zmianę to z czoła, to z karku.

– Nie sądzę – powiedziała Tracy. – Gdyby tak było, wrzuciliby kosz do głębszej wody, dalej od brzegu. Podejrzewam, że zostawili je tak blisko, bo tak im było wygodniej. Zabójca zna ten teren albo nie chciało mu się płynąć dalej.

– Wiemy mniej więcej, jak długo leżały tam zwłoki? – spytał Del.

– Według pobieżnej oceny Funka najwyżej kilka dni. Występuje tylko niewielki obrzęk dłoni, zewnętrzna warstwa skóry pozostaje nienaruszona.

– Czeką nas szukanie igły w stogu siana – mruknął Faz.

– Może – przyznał Del. – Ale i tak mamy większą szansę na znalezienie jej, niż ta klatka miała na przypadkowe splątanie się z koszem chłopaka.

- Chyba nie sądzisz, że to on? – rzuciła Tracy.
- Mówię tylko, że to nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Założę się, że nieprędko weźmie do ust kraba – powiedział Faz.

Tracy rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiegoś mundurowego. Zgodnie z nowymi przepisami ci mieli obowiązek noszenia włączonych kamer osobistych, a to znaczyło, że trzeba uważać, co się mówi i z jaką miną. Na przykład wybuchy śmiechu w gronie detektywów na miejscu przestępstwa mogły łatwo obrócić się przeciwko nim. Ludzie nie rozumieją, że wisielczy humor jest często ratunkiem przed zwymiotowaniem. Smartfony jeszcze sprawę pogorszyły, bo teraz każdy był kamerzystą amatorem.

Williams wskazał na dwa apartamentowce stojące najbliżej wjazdu na plażę.

- Przepytajmy ludzi w tych domach i na marinach – zarządził. – Może ktoś coś widział.

- Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli przyzwoitą podobiznę ofiary – wtrącił Faz. – Można by sprawdzić, czy ktoś jej nie poznaje.

- Nie wybiegamy za bardzo do przodu? – spytał Kins. – Może się nam poszczęści i znajdziemy jej zdjęcia w systemie. Mogła być prostytutką albo narkomanką.

- Nie sądzę, żeby zabójca aż tak się przejmował ukryciem ciała prostytutki czy narkomanki – powiedziała Tracy.

- Więc jeśli ofiara nią nie była, ktoś powinien był zgłosić jej zaginięcie – zwrócił jej uwagę Kins.

- Tak robią mafiosi w moim rodzinnym mieście – wtrącił Faz. – Jedno stuknięcie w tył głowy i stajesz się karmą dla rybek.

– I być może masz rację – przyznał Kins. – Mówię tylko, że może nam się poszczęścić.

Williams jednak pokręcił głową.

– Nie, popytajmy teraz, póki jeszcze wszystko jest świeże. Poza tym jeśli została zastrzelona, to gdzieś jest jeszcze jedno miejsce przestępstwa.

– Którego znalezienie może być równie niemożliwe, jak ustalenie miejsca przybicia łodzi do brzegu – dodał Kins.

Z namiotu wyszedł Funk; tym razem nie przypominał wyglądem roztargnionego profesora. Niedawna wizyta u fryzjera nieco przetrzebiła jego siwą czuprynę, która często sprawiała takie wrażenie, jakby Funk nie miał grzebienia. W okularach przeciwsłonecznych wyglądał dużo młodziej niż w noszonych na co dzień szklach w srebrnych oprawkach, o wiele za dużych jak na jego wąską czaszkę.

– Klatka zmieści się w naszej furgonetce – oznajmił. – Zabiorę ją w całości do siebie, ale dziś się tym nie zajmę.

– Czy ofiara ma jakieś tatuaże albo przekłucia? – spytała Tracy.

– Na razie niczego takiego nie zauważyłem – odparł Funk.

– A nakłucia po igłach? – wtrącił się Kins.

– Tego też jeszcze nie wiem.

– Jak długo, pańskim zdaniem, przebywała w wodzie? – zapytał Faz.

– Dwa, trzy dni, nie dłużej.

– Chciałabym, żeby kosz pozostał w możliwie nienaruszonym stanie – powiedziała Tracy. – Może nam coś podpowie o miejscu swego pochodzenia.

– Postaram się – obiecał Funk.

– Zawiadom nas, kiedy będziesz gotowy się nią zająć – dodała Tracy.

Po odejściu Funka Williams zwrócił się do Dela i Faza:

– Zaczynjcie przepytować mieszkańców tych domów. – Tracy i Kins mieli popłynąć z patrolem straży portowej do miejsca znalezienia kosza. – Spotkajmy się wszyscy po południu.

Tracy i Kins ruszyli w stronę czekającej motorówki.

– Masz może krem przeciwsłoneczny? – spytał Kins. Gdy wręczyła mu tubkę, wycisnął trochę kremu i rozsmarował sobie na karku. – Znam gorsze sposoby spędzania sobotniego popołudnia.

– Myślę, że ta kobieta byłaby innego zdania – mruknęła Tracy.

□ □ □

Resztę popołudnia Tracy i Kins spędzili, smażąc się na słońcu. Temperatura powietrza przekraczała trzydzieści stopni, ale na wodzie wydawało się, że jest jeszcze goręcej, a powietrze stało w miejscu. Gdy Schill zabrał ich na swoje łowisko, od razu pojawiły się problemy. Silne prądy i użyta przez niego linka o długości ponad dwudziestu metrów powodowały, że nie był w stanie dokładnie określić miejsca, z którego wyciągnął drugą klatkę, ani nawet tego, gdzie był zanurzony jego kosz. To radykalnie powiększało teren poszukiwań. Ponadto woda na tej głębokości była na tyle mętna, że ograniczała widoczność do niecałego metra. Nurkowie przebadali teren w promieniu rozsądku, ale nie znaleźli ani broni, ani niczego innego, co mogło się kojarzyć z kobietą w pułapce na kraby. Co zresztą nikogo nie zdziwiło. Zabójca najwyraźniej chciał, by nikt nigdy nie odnalazł jej zwłok.

Po powrocie na brzeg Tracy marzyła tylko o tym, by jak najszybciej pojechać do domu i wskoczyć pod zimny prysznic,

niestety, musiała się z tym wstrzymać. Razem z Kinsem wrócili na komendę policji i spotkali się w sali konferencyjnej z Fazem, Delem i Billym Williamsem. Faz poinformował ich, że pierwsza runda rozmów z mieszkańcami osiedla i użytkownikami marin nie zaowocowała żadnymi przydatnymi informacjami.

– Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli jej fotografię – powtórzył.

Tuż po zejściu na ląd Tracy zadzwoniła do Funka i usłyszała, że wprawdzie wyjęto zwłoki denatki z klatki, ale uzyskanie jej podobizny w przydatnej jakości jest bardzo problematyczne. Może rysownikowi uda się uzupełnić brakujące fragmenty jej twarzy w miejscach wyżartych przez morskie stworzenia, ale na razie przekazanie Fazowi i Delowi fotografii zrobionej na stole sekcyjnym skończyłoby się wymiotami mieszkańców apartamentowców i właścicieli łodzi w marinach.